

JANUSZ „KRAWIEC” WIŚNIEWSKI



**ŻYCIE
SKROJONE
NA MIARĘ**

TOM I

S. KITOWSKI

Janusz „Krawiec” Wiśniewski

ŻYCIE SKROJONE NA MIARĘ. TOM 1

(KRAWIOTKA)

Książkę tę dedykuję mojej najukochańszej żonie Ewie, z prośbą o wybaczenie i wyrozumiałość dla mojej wybujałej wyobraźni

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

Wydanie II (e-book)

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Autor okładki: Sławomir Kitowski

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk, Grażyna Nawrocka

ISBN: 978-83-66719-32-3

Wszelkie podobieństwa do osób i sytuacji, występujących w rzeczywistości są przypadkowe

Spis treści

[OD WYDAWCY](#)

[OD AUTORA](#)

[DZIECIŃSTWO](#)

MŁODOŚĆ

WCZASY

WOJSKO

DO CYWILA!

KONRAD

POGRZEB

EGZAMIN

SWATY

BIZNES

SEN

PRACA

POETA

CZKAWKA PO WOJSKU

CZELADNIK

COŚ SIĘ ZAPOWIADA

TRAGEDIA

ZARĘCZYNY

PO ŚMIERCI

MAŁŻEŃSTWO

PO FIRMIE?

NIEPOKOJE

WIERsze

ZDRADA

OD WYDAWCY

Piotr, bohater tej książki przeszedł wszystkie szczeble zawodowej kariery w dziedzinie krawiectwa: od czeladnika, terminującego w pracowni stryja, do mistrza i przedsiębiorcy, właściciela dużego zakładu krawieckiego, w którym szyje ubrania prezydentom, premierom, artystom, biznesmenom. Jest to nie tylko świetnie opowiedziana historia o zawodowych (krawieckich) ambicjach, klęskach i sukcesach ale także opowieść o życiu rodzinnym i towarzyskim, o uczuciach, o miłosnych podbojach, o marzeniach, o życiu w ogóle. To prawdziwa krawiecka epopeja odmalowana na tle intensywnych przemian politycznych, społecznych i obyczajowych naszego kraju. To „opowiedziana nożycami” historia, prowadząca nas przez zmieniające się mody i kroje garniturów, tkanin, dodatków krawieckich.

Akcja tej w dużej mierze autobiograficznej powieści rozpoczyna się od lat 40-tych XX wieku, czyli od wczesnego dzieciństwa autora, a kończy pod koniec wieku XX. Książka ta ma szczerść i prawdę autentyku. Jej siłą jest też szczegółowe odtworzenie realiów dotyczących czasów, które opisuje, a także obfitość wziętych z życia historii i anegdot.

Istotnym elementem tej książki są klimaty związane z modą (głównie męską). Na jej kartach autor niejednokrotnie opisuje ubiór jej bohaterów fachowo go komentując. Zapoznajemy się w ten sposób z wieloma ciekawymi i użytecznymi informacjami dotyczącymi właściwego, dobrane do okoliczności i cech danej osoby stroju.

Ze względu na dużą objętość powieść „Życie skrojone na miarę” podzielona jest na dwie części: Tom 1. (podtytuł „krawiotka”) i Tom 2. (podtytuł „mistrz”). Tom 3. zatytułowany „Życie od podszewki” jest swoistym post-scriptum do dwóch wcześniejszych tomów.

OD AUTORA

Do napisania tej książki skłoniła mnie pewna rozmowa. Odbylem ją w przymierzalni mojej pracowni przy ulicy Starowiejskiej w Gdyni. Mój klient, młody człowiek, najwyżej trzydziestoparoletni, wysoki brunet o sylwetce i twarzy modela, pierwszy raz zawitał do mnie, kiedy potrzebował ubioru na wystąpienie w warszawskiej Sali Kongresowej. Jako współtwórca Wirtualnej Polski odbierał nagrodę z rąk prezydenta. Na tę okazję namówiłem go na granatowy long [rodzaj męskiego garnituru z wydłużoną marynarką]. Wspólnie dobraliśmy wiśniowy krawat i podobną chusteczkę do górnej kieszonki. Lśniąco biała koszula podkreślała jego opaleniznę. Kiedy stał w przymierzalni przed lustrem, patrzyłem na niego oczami zachwyconej nastolatki. To było to! Później szyłem mu kolejne garnitury. Mierząc któryś z nich, w czasie kiedy Wirtualna Polska miała chwilowe problemy, zaczęliśmy rozmawiać na temat przyszłości popularnego portalu i planów mojego klienta.

– Mam dosyć biznesu, chcę napisać książkę – powiedział. – Będę miał teraz więcej czasu i... niech sobie pan wyobrazi, chciałbym, żeby bohaterem był krawiec!

Stałem zaskoczony. Nie wiem nawet, czy gębę miałem zamkniętą.

– I prosiłbym pana – mówiąc to, odwrócił się do mnie ponownie, bo przed chwilą szpilkowałem i obrysowy wałem kredą jego marynarkowe plecy – żeby mi pan opowiedział o swojej pracy, o swoim życiu. Na pewno zna pan wiele zawodowych anegdot. Zna pan, na przykład, ten dowcip? Klient przychodzi do pracowni w uszytym w niej garniturze i mówi do swego krawcy: „Panie, tu mi z boku źle leży...”. „Niech pan się pochyli na tę stronę” – odpowiada krawiec. Za kilka dni klient znowu przychodzi do poprawki. „Panie, tu mi też źle leży”. „To niech się pan trochę skrzywi w tym miejscu”. Klient ponownie przychodzi i mówi: „I tu mi źle leży”. „To niech pan...”. W końcu idzie taki pokrzywiony ulicą...

Rozpromieniony klient, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, kończy:

– A facet do faceta, widząc pokrzywionego, mówi: „Zobacz, jaki kaleka pokrzywiony, a jak ma dobrze uszyty garnitur!”. Ha, ha, ha – mój klient aż się zwija ze śmiechu. Uśmiecham się i ja półgębkiem, bo co trzeci interesant stara się opowiedzieć mi tę historyjkę. Dobrze, że niektórzy, nim skończą, pytają:

– Zna pan ten dowcip?

– Tak, tak – przerywam szybko śmiechem.

Więc krawiec miałby być bohaterem książki. Do tej pory, jeżeli w literaturze czy filmie występowała taka postać, to przeważnie był to człowiek mizerny, często godny litości. Nierzadko – w czasie wojny – konfident. Postać pozbawiona moralności, uboga duchowo.

Kim byłby bohater książki mojego klienta? Czy nie lepiej opisałby życie krawcy – krawiec? Czy ja nie mógłbym tego uczynić?

No tak, ale czybym potrafił? Czy mi się udało?

DZIECIŃSTWO

– Piotrek, co pamiętasz z wojny? Pamiętasz nasze mieszkanie w Warszawie? A pamiętasz ojca? – te pytania zadawała mi matka, melancholijnie cofając się w czasie hen, do wojennej Warszawy, do tych paru lat spędzonych z ojcem. We wspomnieniach siedziałem na matczynych kolanach, a ona przytulała mnie do siebie, gładząc po rzadko kiedy strzyżonej czuprynie. Rodzice pobrali się krótko przed wojną. On miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Ona była dwa lata młodsza. On był świeżo upieczonym czeladnikiem krawieckim. Ona pomocą kuchenną w Instytucie Ociemniałych i Głuchoniemych. Został mi po nich ślubny portret. Na nim ojciec, już lekko łysiejący, wystrojony w dwurzędowy, czarny smoking, a może frak, co sugeruje biała muszka pod szyją, i ona w bogatej białej sukni z welonem. Młodziutka, zarumieniona nawet na zdjęciu, z długim warkoczem fikuśnie przerzuconym przez ramię do przodu. Patrzą oboje niebieskimi oczami w przyszłość, po której obiecywali sobie tak wiele. Niestety, zbyt krótko byli razem. Krótko dane im było cieszyć się szczęściem.

Urodziłem się dwa lata po ślubie. Wtedy już Niemcy okupowali Warszawę. Mieszkaliśmy na Powiślu, przy ulicy Dobrej 49. Lokal o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych, z witryną wychodzącą na ulicę, był miejscem, gdzie ojciec przyjmował klientów, kroił i szył. O wiele mniejsza antresola bez okna, do której prowadziły wąskie drewniane schody, służyła nam za prywatne mieszkanie. Tutaj spaliśmy, jedliśmy i spędzaliśmy każdą wolną chwilę.

– A pamiętasz, Pińku, jak chciałeś się napić wody prosto z wiadra? Byłeś malutki, przechyliłeś się i wpadłeś do środka. Nie mieliśmy wtedy ani prądu, ani wody. Po wodę ojciec chodził do Wisły. – Matka nieraz przypominała mi podobne zdarzenia. Chciała w ten sposób zatrzymać czas. Tamten czas, w którym mimo okupacji i mimo biedy, byliśmy szczęśliwą i kochającą się rodziną.

– A pamiętasz rozkład naszego mieszkania?

– Pamiętam, pamiętam, mamó – odpowiadałem trochę niepewnie. – Pamiętam, jak ojciec sadzał mnie na blacie stojącej przy witrynie maszyny do szycia. Rysował mi konie – piękne, rozpędzone, w galopie.

– Naprawdę pamiętasz? – z niedowierzaniem pytała matka, przytulając mnie jeszcze mocniej.

– Tak, tak – przytakiwałem z przekonaniem.

A jak było naprawdę? Czy pamięć obrazów z tamtych dziecięcych lat nie była przypadkiem intuicyjnym rezultatem matczynych opowieści?

– Pamiętam, mamó, jak nas wysiedlili po powstaniu. Jak szliśmy zwartym tłumem do Pruszkowa. Jak na placu przed kościołem w Pruszkowie kobiety gotowały na ogniskach kawę w garnkach postawionych na ceglach. Pamiętam jeszcze jej zapach. Pamiętam druty kolczaste oddzielające nas od mężczyzn, wśród których był tata. Pamiętam, jak przechodząc pod drutami, zanosilem mu gorącą kawę w menażce. Pamiętam, jak wziął mnie na ręce i mocno przytulił do siebie. Pamiętam, jak dał mi odłamany kawałek bułki. Pamiętam, jak Niemiec z karabinem krzyczał do mnie: „Raus, raus!”. Pamiętam, jak nie mogłem się od ojca oderwać, jak płakałem. Wtedy widziałem go ostatni raz.

– Pamiętasz, Piotrek? Naprawdę pamiętasz? Miałeś wtedy tylko cztery lata!

– Pamiętam, mamó, pamiętam!

Czy pamiętałem naprawdę? Czy to matka opowiadała mi o tym ostatnim spotkaniu z ojcem? Później, mając trzynaście czy czternaście lat, w któreś Święto Zmarłych, po przyjeździe z cmentarza, kiedy byłem sam w domu, a z radia sączyła się smutna muzyka, napisałem wiersz:

*Dzisiaj jest Święto Zmarłych
w radio grają Bacha...
słucham i myślę o ojcu
dranie! zabili Cię w Dachau...*

*Wyrwali mi Ciebie z serca
nie bacząc na ból i ranę*

*pamiętasz, jak płakałem:
ojcze! bez Ciebie zostanę?*

*A Ty nie mogłeś nic zrobić
bo bili Ciebie kolbami
– trzymaj się, synu, ja wrócę – krzychałeś – ja będę jeszcze z wami*

*I wracasz teraz do mnie
choć zamęczyli Cię w Dachau
jesteś w preludiach Chopina
i jesteś w fugach Bacha.*

Miałem również w pamięci garnek jaglanej kaszy, upieczonej w wiejskim piecu. Ależ ta kasza była smaczna. I gruszki ulęgalki. I ciepły, chrupiący, wiejski chleb, którego dostawałem zbyt mało, mimo że matka oddawała mi część swojej porcji. Boże! Jakże to wszystko było pyszne. Jak bardzo smakowało tam na wsi, u gospodarza, u którego znaleźliśmy się po wysiedleniu z Warszawy.

Po wojnie przyjechaliśmy z matką do Gdyni. Tutaj brat mojego ojca – stryj Jakub – po powrocie z niewoli niemieckiej ponownie otworzył zakład krawiecki. Liczyliśmy, że ojciec powróci do nas z obozu. Matka wiedziała, że od chwili wypędzenia nas z Warszawy przebywa w Dachau. Czekanie na powrót taty przedłużało się. Stryj Jakub poradził nam, żebyśmy pojechali do drugiego brata mojego ojca, do Ignacego. Stryj Ignacy w tym czasie, wraz z armią sowiecką, znalazł się w Słupsku. Był w pierwszej grupie Polaków, którzy postanowili osiedlić się w tym ponemieckim mieście. Zajął całe piętro budynku przy głównej ulicy i natychmiast otworzył w nim zakład krawiecki. Miał około czterdziestki i był starym kawalerem. Wysoki, kościsty mężczyzna, z wąsikami a la Hitler, z ciemnymi rzadkimi włosami zaczesanymi do tyłu, przyjął nas serdecznie. Spodziewał się zapewne, że matka pomoże mu utrzymać zdobyty niebagatelny majątek. Mówię niebagatelny, bo całe mieszkanie w zachowanej w wyśmienitym stanie kamienicy, które zajął mój stryj, było przebogato i komfortowo wyposażone. Stylowe meble, porcelana w kredensach, srebra, piękne obrazy, drogie dywany – to wszystko stało się jego własnością. Z pięciopokojowego mieszkania stryj wydzielił duży pokój z osobnym wejściem na pracownię i salon przyjęć. Jeden zaś pokój zajmowała samotna starsza pani – Niemka – do niedawna właścicielka tego domu. Teraz, czekając na deportację, była całkowicie uzależniona od stryja, który jako jeden z pierwszych Polaków w Słupsku brał udział w administrowaniu miastem. Myślę teraz, że ta zagubiona, nieszczęśliwa kobieta, której mąż i synowie zginęli ponoć na froncie wschodnim, nie umiała podjąć decyzji, czy zostać „na swoim”, czy wyjechać do Niemiec. Na razie mieszkała w małym pokoju bez kuchni i łazienki. Ubikacje były umieszczone oddzielnie, na półpiętrach. My mieliśmy do dyspozycji dwa duże pokoje z obszerną jasną kuchnią i służbówką. Jeden, pięknie urządzony, zwany salonem, był wspólny. Drugi był sypialnią i garderobą stryja. Ja i mama zajmowaliśmy służbówkę przyklejoną do kuchni.

Nigdy przedtem nie widziałem tak pięknych luster, „mięsistych” zasłon, foteli obficie zdobionych aksamitnymi pomponami, które aż kusiły, by poobrywała je dziecięca rączka, obrazów z Madonnami i pejzażami, mówiących o pięknym, bajkowym, odległym świecie. Po wojennej tułaczce dom stryja wydał mi się rajem. Po przebytej biedzie przepych i bogactwo tych wnętrz przytłaczały mnie do tego stopnia, że bardzo często, gdy nikt nie widział, chowałem się w przeogromnej, trzydrzwiowej, brązowo-czarnej szafie, która stała w przedpokoju obok pracowni. Na dnie tej szafy leżały miękkie materiały, czekające na swoją kolej do skrojenia. Zamknięty tam, często zasypiałem, tuląc się do miękkości flaneli i flauszów, do zgrzebnych [wykonany z grubej i krótkiej przędzy] samodziałów [tkanina wytwarzana na krośnie ręcznym], łaskoczących włóknami moje rozpalone chorobliwie policzki.

Wraz z przepychem domowego wnętrza przyszła obfitość jedzenia. Mimo uboższego powojennego rynku klienci stryja przynosili w zamian za szycie mięso, wędliny i drób. Mój organizm nie umiał przestawić się na ten nagły dobrobyt. Nie mogłem nawet zjeść do końca rosółu z kaszą manną pociętą w kostkę. Kaszka stawała mi w gardle i doprowadzała do wymiotów. Właśnie za brak apetytu dostałem od stryja pierwsze lanie.

Tak mijały dni i miesiące. Ojciec nie wracał i nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. W domu coraz częściej mówiło się o wysiedleniu „naszej” Niemki. Ja zaś w tym czasie zaprzyjaźniłem się z Frau, jak ją nazywaliśmy, na dobre. Mama po ugotowaniu obiadu, wysprzątaniu mieszkania, zrobieniu prania pomagała jeszcze w szyciu, które trwało do późnej nocy. Zwykle nie starczało jej czasu na zabawę ze mną. Zawsze już spałem, kiedy ona kładła się obok mnie na łóżku. Wstawała, zanim się obudziłem. Niemka natomiast miała zawsze dużo czasu i bardzo mnie lubiła. Często znajdowała też coś smakowitego do zjedzenia. Piekła ciasteczka o wyjątkowym aromacie lub wyciągała spod swego łóżka powidła w szklanych słoiczkach. Ciasteczka były niespotykane, z chrupiącymi skwarkami ze słoniny. Kiedyś pomagałem jej przy ich przygotowaniu. Kręciłem korbką maszynki do mielenia, a zamiast mięsa wychodziły z niej beżowe balaski, które po upieczeniu w piekarniku stawały się czymś najsmaczniejszym na świecie. Kupowane w małym prywatnym sklepiku ciepłe lody też oczywiście były fantastyczne! Z tamtego czasu pamiętam również apetyczne placuszki z gotowanych ziemniaków, przemielonych przez maszynkę, zmieszanych z mąką i z czymś jeszcze, za które oddawałem jej po kryjomu swoje udka z kurczaka. Do dzisiaj pamiętam smak tych placków. Smak, z którym nigdy w życiu już więcej się nie spotkałem. Frau uczyła mnie również niemieckiego. Podczas zabaw z nią wchłaniałem ten język bardzo szybko. Pamiętam, jak skacząc po meblach, fotelach i tapczanach, by dokładniej pokazać palcem wiszący obraz, na którym nad rzeczka pasła się krowka, a w oddali widać było kościółek i drogę, i las, i zachodzące nad nim słońce, zadawałem jej pytania:

– Was ist das? Was ist das?

Po prawie roku obcowania z Frau tłumaczyłem z niemieckiego na polski i odwrotnie bardzo poważne sprawy załatwiane przez dorosłych. Pewnego dnia Frau wyjechała do Niemiec.

Zbliżał się moment pójścia do szkoły. Moje pierwsze podejście nie powiodło się jednak. Po miesiącu komisja stwierdziła, że jestem zbyt wąty.

Ojciec ciągle nie wracał. Pewnej nocy przebudziłem się niespodziewanie. Spostrzegłem, że w pokoiku nie ma mamy. Kiedy zacząłem płakać, przyszła do mnie z pokoju stryja. Potem już coraz częściej budziłem się bez niej. Nie miałem do kogo się tulić. Mama przeniosła się do łóża stryja Ignacego.

Nie miałem kolegów. Moim światem była szafa, w której stacjonowały całe pułki ołowianych żołnierzyków. W ciemnościach, za zamkniętymi drzwiami szafy, nadal trwała wojna między polskimi i niemieckimi żołnierzami. Po pewnym czasie w pracowni stryja pojawili się pierwsi pomocnicy, których mama nazywała czeladnikami. Roboty musiało być

dużo, bo często zostawali w pracy na noc. Spali wtedy po parę godzin na krawieckich stołach. W pracowni było coraz weselej. Dorośli śmiali się i rozmawiali podniesionymi głosami do późnych godzin nocnych. Mama wtedy przynosiła z kuchni „coś do przegryzienia” i też była radosna. Najgłośniejszy był jednak stryj Ignacy. Często mówił do rymu, tak jak w wierszach Brzechwy. Ale jego wiersze były o rzeczach poważnych. Były o miłości, a nawet, jak mawiali dorośli, o polityce. Zza zamkniętych drzwi pracowni dolatywały do mnie ich głośne rozmowy i śmiech. Nieraz udawało mi się zostać w szafie i podsłuchiwać. Szybko jednak zasypiałem i mama przenosiła mnie śpiącego do łóżka. Którejś nocy, kiedy zasnąłem w szafie, przyśniło mi się nasze mieszkanie w Warszawie. Śniło mi się bombardowanie. Wtedy, w prawdziwym życiu, kiedy rycząca „krowa” miotła odłamkami żelaza, niszcząc ze straszliwą siłą i hukiem wszystko, co stało jej na drodze, siedzieliśmy w piwnicy, a tatuś i mama przytulali mnie, osłaniali. Teraz, śpiąc w szafie, słyszałem ryczącą „krowę”, rozrywające się pociski, walące się mury i nie miałem się do kogo przytulić. Nie miał mnie kto chronić.

– Mamo! Tatuśku! – krzychałem wniebogłosy, wyskakując z szafy.

W pracowni dorośli rozmawiali bardzo głośno. Kłócili się. Nie zwracali na mnie uwagi. Mówili brzydkie wyrazy. Wtedy mama brała mnie na ręce i zanosila do naszego pokoju. Kładła się ze mną do łóżka, a ja przytulałem się mocno, choć mama pachniała wódką. Słowo „wódka” zagościło w domu stryja już na dobre. Dorośli pili coraz częściej. Stryj, kiedy był trzeźwy, był dla mnie dobry. Głaskał mnie po głowie i dawał na cukierki. Niestety, bywał trzeźwy coraz rzadziej. Często nie nocował w domu. Przychodził nad ranem. Budził wszystkich i okropnie się awanturował. Uciekałem wtedy z ich łóżka, pod jego nieobecność zwykle bowiem sypiałem z mamą. Kiedyś przyłapał mnie na tym i mocno uderzył otwartą dłoń w twarz. Pobiegłem do mojego pokoju, skąd słyszałem, jak bił mamę. Słyszałem, jak krzyczała i wołała o pomoc. Schowałem się do mojego schronu – do szafy. Rano zobaczyłem mamę strasznie pobitą, z siniakami na twarzy i piersiach. Ledwie chodziła po domu, popłakując. Nie przytuliłem się do niej. Bałem się, że będzie ją to bolało.

– Mamuńko, mamo, dlaczego on nas bije?!

On, mój stryj, leżał w tym czasie w kalesonach ściągniętych do kolan w poprzek łóżka i głośno chrapał.

Ojciec ciągle nie wracał, a stryj Ignacy upijał się dalej niemiłosiernie. Coraz częściej w pracowni nie było przygotowanej roboty dla czeladników. Zawiedzeni klienci robili awantury o niedotrzymanie terminów. Zaczęły się problemy z pieniędzmi. Nie mieliśmy na nic. Brakowało na zapłacenie podatku, czynszu za mieszkanie, na jedzenie. Czeladnicy nie dostawali swoich tygodniówek. Stryja nieraz nie było przez tydzień. Jego powroty były dla nas koszmarem. Kiedy wracał w nocy, słyszeliśmy, jak wykrzykuje na ulicy przekleństwa i awanturuje się. Podczas jednego z takich powrotów szybko uciekłem z łóżka od mamy i schowałem się do szafy. Mama zamknęła się na klucz w jednym z przylegających do pracowni pokoi.

– Otwieraj, kurwo! Otwieraj, bo wywalę drzwi! – krzyczał stryj. Walił pięściami i kopał w mocne, poniemieckie, dębowe, pomalowane białą olejną farbą drzwi, które oddzielały go od matki. Kiedy nie otwierała, poszedł do pracowni po ciężkie krawieckie żelazko i walił nim z furią tak długo, aż wyłamał dziurę, przez którą wszedł do ciemnego pokoju. Zastał tam tylko otwarte okno, w którym jesienny wiatr miotał firankami. Matka wyskoczyła. Sąsiedzi z dołu zawieźli ją na ramie roweru do szpitala. Miała złamane obie nogi. Byłem u nich dwa dni, zanim przyszedł po mnie stryj.

– Pójdziemy do matki, do szpitala – powiedział, odbierając mnie od sąsiadów. Był trzeźwy, ogolony, w białej koszuli zapiętej pod szyją, bez krawata. W dwurzędowym, granatowym garniturze w szerokie, wyraźne paski wzbudzał zaufanie.

– Wszystko będzie dobrze. Odwiedzimy matkę w szpitalu, wróci do domu za parę dni – mówił do mnie i jakby do siebie, kiedy szliśmy ulicą.

Mama przebywała w szpitalu około dwóch tygodni. Nogi, aż po same uda, miała w grubym, białym gipsie. Odwiedzałem ją codziennie. Wozilem na wózku po szeleszczących, kolorowych liściach, które zaścielały parkową trawę w tę październikową złotą jesień. Siostry szpitalne częstowały mnie prawdziwą gorzką czekoladą.

(koniec bezpłatnego fragmentu)